

Mamy, dzieci, zęby i wszystko pomiędzy

W życiu każdego dziecka przychodzi moment, w którym sprawdzanie smaku całego świata jest kluczowe. Nie chodzi mi tu bynajmniej o skupienie na jedzeniu tynku ze ściany, ale już obgryzanie własnych kapci, jak najbardziej mieści się w tej kategorii. Nawet jako lekarze uznajemy ten stan za normę rozwojową. Namawiamy oczywiście do racjonalnego podejścia do spożywanych pokarmów i czujnej obserwacji, czy kapcie są czyste, ale rozumiemy ból i swędzenie dziąseł, które odczuwa ząbkujący maluch.

Jako rodzice mierzymy temperaturę, zmieniamy setki śliniaków, zastanawiamy się, czy to możliwe, by tak śliniące się dziecko nie miało w swoim drzewie genealogicznym jakiegoś buldoga. Również nosimy, bujamy, nie śpimy po nocach razem z cierpiącym dzieckiem.

Niektórzy z nas to szczęściarze – ludzie nierealni niczym jednorożce z krainy czarów, czyli ci, którzy nie zauważyli, że ich dzieciom rosną zęby, aż do pierwszego ugryzienia w palec. Wraz z pojawieniem się zębów kończą się żarty i zaczyna się praca. Do akcji wkracza szczoteczka do zębów. Mówi się, że dzieci mogą same myć zęby, gdy potrafią się już podpisać. Na szczęście – tak myślę – nie chodzi o podpis pełnym imieniem i nazwiskiem, a o zwykłe napisanie swojego imienia. Przyjmijmy, że większość dzieci posiada tę umiejętność w dniu piątych urodzin. Przyjmijmy, że pierwszy ząb pojawił się w szóstym miesiącu życia. Przyjmijmy wreszcie, że dziecko myje zęby dwa razy dziennie. Do tych danych dodajmy dziecięcy upór, chęć samodzielności oraz brak współpracy i otrzymujemy trzy tysiące dwieście osiemdziesiąt osiem powodów do awantur i awanturek. Oczywiście niektóre z nich można policzyć podwójnie lub nawet potrójnie, bo przecież świat nie zna większego uporu niż dwulatek, który mówi „nie”.

Przeżywamy pierwsze mleczaki, które postanawiają opuścić młodego towarzysza i udać się w inną podróż zabrane do magicznej sakiewki wróżki zębuszki. Wolimy te zęby, które wypadają same, robiąc miejsce dla swoich stałych kolegów niż te, które opuszczają jamę ustną w trakcie harców na hulajnodze lub rowerze. Umacniamy wiarę dzieci w to, że wróżka zębuszka lubi czyste zęby. Zmieniamy szczoteczki i pasty wraz z wiekiem i potrzebami dzieci. Pilnujemy, by dziecko w kolejne etapy wchodziło spokojnie i ze świadomością, co się dzieje w jego ciele.

Oczywiście na samym myciu zębów przygoda się nie kończy. Odhaczając kolejne punkty na naszej liście noszącej tytuł „dbanie o zęby”, trzeba się jeszcze wybrać do pieczary smoka, zwanej też gabinetem dentystycznym. Jako rodzice wybieramy dentystę roztropnie. Szukamy takiego „z podejściem do dzieci”. Robimy wizyty adaptacyjne. Czytamy setki książeczek, w których dzielni bohaterowie dziarsko maszerują do dentysty.

Cieszymy się gdy „nasz” dentysta niczym treser lwów bez wahania zagląda w paszczę naszego dziecka. Doceniamy magiczne sztuczki wykorzystujące fotel dentystyczny jak windę i wszystkie opowieści o tym, jak działa ssak i jakie dźwięki wydają kolejne sprzęty.

Czy zatem da się zjeść zęby na tym rodzicielstwie? Da się, choć często jedynie dosłownie, gdy nadmiernie je sobie zetrzemy od zgrzytania.

Korzystając z tematu tego numeru „Panaceum”, chciałam w imieniu wszystkich Matek Lekarek, podziękować dentystom, którzy decydują się cierpliwie towarzyszyć naszym maluchom w tej zębowej przygodzie.

Katarzyna Czaplicka

Panaceum 11/2023